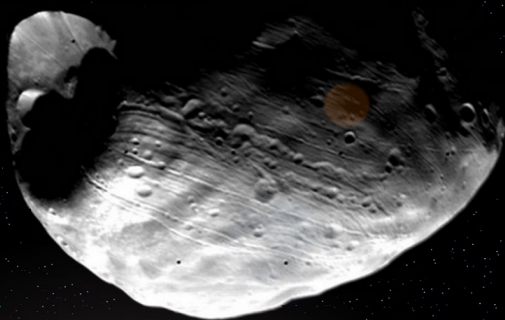


SIĘGAJĄC POZA HORYZONT

Tomasz Biedrzycki



**Operacja
"THOR"**

Tomasz Biedrzycki

OPERACJA „THOR”

OPERACJA THOR

Copyright © by Tomasz Biedrzycki

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez zgody autora.

All rights reserved

Okładka

Tomme Vasque

Korekta

Łukasz Biedrzycki

Agnieszka Koprowska

www.tomaszbiedrzycki.pl

Jelenia Góra 2012

ISBN 978-83-934329-5-0

PROLOG

Na czarnym, marsjańskim niebie mrugały setki gwiazd. Wydłużone smugi rzadkich obłoków płynęły wysoko i dostojnie. Ich rzadka struktura nie była w stanie blokować feerii światła, którą Droga Mleczna raczyła zatopioną w mroku łososiową powierzchnię planety. Nad horyzontem pojawił się nieforemny, błyszczący kształt Fobosa, bliższego księżyca Marsa. Mknął z prędkością niewiarygodną dla przeciętnego człowieka z Ziemi. Jego nikłe światło przesunęło się po długiej, niskiej galerii ciśnieniowych ciemnych okien, ciągnących się wśród poszarpanych ścian krateru uderzeniowego. Przy jednym z nich stał barczysty brunet. W milczeniu wpatrywał się w owalny kształt marsjańskiego księżyca, przesuwającego się szybko po nocnym niebie. W zamyśleniu przesunął prawą dłoń po komputerowym nadruku „James Renflov” widniejącym na jednocześnieowym kombinezonie tuż nad szerokimi kieszeniami na piersiach. W pustym korytarzu rozbrzmiał cichy szum serwomotorów. Odslonięty rękaw ukazywał matową powierzchnię stopów tytanu będącego w ruchu przedramienia.

- Zespół „Phobos” proszony do sali odpraw – usłyszał neutralny, kobiecy głos dobiegający z słuchawki implantowanej wewnątrz ucha. Zerknął ostatni raz na marsjański księżyc, który dotarł już do zenitu. Powolne kroki poprowadziły go do końca korytarza. Błądził wzrokiem po jasnych ścianach, przedzielonych co kilkadziesiąt metrów elastycznymi, wygaszonymi teraz ekranami. Jedyne światło dobiegało zza otwartych drzwi ciśnieniowych tuż przy skrzyżowaniu ciągów komunikacyjnych, wiodących do nowo otwartego Centrum Studiów Strategicznych. Idąc tam, przez głowę przebiegały mu ostatnie tygodnie i lata.

Rodzący się konflikt pomiędzy odległą Ziemią a Marsem spowodował, że miejsca takie jak ta kolonia były opustoszałe. Jeszcze raz spojrzął w światło pustego korytarza i wszedł do środka Centrum. W przeciwieństwie do ponurej galerii widokowej, pomieszczenie wypełniał gwar kilkudziesięciu osób i dziesiątki włączonych ekranów, szczelnie wypełniających każdą wolną przestrzeń. Już z daleka dostrzegł nadchodzącego przyjaciela. Starannie dopasowany kombinezon w różnych odcieniach czerwieni, z dystynkcjami kaprała prezentował się na przysadzistym blondynie znakomicie. Nieco sztywny chód zdradzał jednak wyjątkowość Allana Gavoffa. Dwa wypadki podczas prac górniczych w okolicach Noctis Fossae pozbawiły go najpierw nóg, potem znacznej części korpusu. Mimo wielu sobie podobnych, blondyn miał prawdopodobnie najbardziej zmodyfikowane ciało spośród wszystkich marsjańskich kolonistów. James uściśnął dłoń Allana przy cichym szumie serwomotorów i rozejrzał się. Doskonale znał większość zebranych. Ochotnicy, od półtora marsjańskiego roku tworzący w pośpiechu siły zbrojne Konfederacji Marsjańskich Kolonii ¹. Ten stosunkowo spokojny czas był już przeszłością. Ekran zasłaniający szczytową ścianę Centrum wyświetlał w czasie rzeczywistym nieforemny kształt ciężkiego pojazdu transportowego. Obserwatorium na Arsia Mons odkryło go już trzydzieści dni wcześniej i śledziło lot aż do teraz.

- Zgodnie z naszymi przewidywaniami – Allan rozchylił usta w szerokim uśmiechu, upodabniającym jego wychudłą twarz do czaszki. Kiwnął krótko ostrzyżoną głową, wskazując na ekran – Chiny nam nie odpuszczą. James zerknął na ekran i przymknął na moment oczy, nie odpowiadając przyjacielowi.

- Wreszcie jest i nasz marzyciel – z zamyślenia wyrwał Renflova suchy głos szefowej centrum. Niska czterdziestolatka stanęła przed mężczyzną. Na jej twarzy nie było cienia uśmiechu, jak zwykle zresztą. Okazała za to głębokie zaniepokojenie.

- Spojrzałem jeszcze na nasz cel – mruknął James witając się z kobietą. Zerknął na jej wydatny biust, ale widząc, że szefowa nań patrzy, udał że zainteresował się plakietką z nazwiskiem „Ursula Evida” – Jest tak blisko...

- Zdecydowanie – ciężko było zakwalifikować ten błysk w oku krótko ostrzyżonej Evidy. Czy mówiła o placówce Federacji Ameryki Północnej na Fobosie czy raczej o znaczącym spojrzeniu na swoją klatkę piersiową?. James potrząsnął głową, wskazując na pozostałych.

- Wszystkie te mądre głowy są po to by radzić? – Ironia w jego głosie była wyraźna. Szefowa Centrum skinęła na obu drobną dłonią i powiodła do foteli, przy których siedziało kilku operatorów, nie zwracających uwagi na powiększającą się grupę mężczyzn i kobiet wypełniających pomieszczenie. Razem było ich może ze trzydzieści. Dla kolonii Oudemanss, przeznaczonej dla niemal pięciu tysięcy osób, taka ilość w jednym miejscu była prawdziwym tłumem.

- Mieliśmy dziewięćset dni na przemyślenia – Evida przecząco pokiwała głową – dziewięćset dni odkąd powstała Konfederacja, teraz pora na działania.... – Przed ekranem pojawił się wysoki, chudy jak szczapa, całkowicie łysy mężczyzna. Wszyscy znali go doskonale. Max Rupert odegrał jedną z najważniejszych ról podczas rewolucji trzy lata ziemskie wcześniej. To on dostarczył informacji o sabotażu, uczestniczył w pojmaniu przysłanego z Ziemi generała Sweiterta. Jako doradca

prezydenta Konfederacji i jednocześnie zwierzchnik sił zbrojnych był najważniejszą osobą na sali. Rozmowy stopniowo cichły, aż wreszcie zapanował całkowity spokój, nieprzerywany nawet szumem serwomechanizmów sztucznych kończyn. Dopiero wtedy w suchym, przesyconym zapachem metalu powietrzu rozbrzmiał stanowczy głos Ruperta.

- Witam zebranych. Wszyscy jesteście ochotnikami i dziękuję wam za poświęcenie. Informacje uzyskane przez was na tym zebraniu należą do ściśle tajnych. Jakakolwiek próba ich ujawnienia jest zagrożona karą śmierci – ponury wydzźwięk tych słów potęgowała panująca wciąż cisza. Chłód panujący w centrum stał się jeszcze bardziej dojmujący.

- Jak dobrze wiecie, na orbitę Marsa jutro około dziesiątej wejdzie chiński pojazd wojskowy „Haiyang”. To wiemy z naszej telewizji i ziemskich agencji informacyjnych – wskazał dłonią na ekran rozciągający się za plecami na wizerunek chińskiego pojazdu, który rozciągał się na całym ekranie. Nie spojrzawszy nań kontynuował.

- Wywiad natomiast podał nam niepokojącą informację o uzbrojeniu rzeczonoego okrętu. Niesie dziesięć atomowych głowic o mocy stu kiloton każda. – Sylwetka pojazdu na ekranie zniknęła a zamiast niej pojawił się schemat rakiety podpisanej „Mały Marsz”.

- To prawdopodobny środek ich przenoszenia. – Tym razem Rupert zerknął na wizerunek rakiety i kontynuował.

- Doniesienia z Ziemi są wysoce nieprawdopodobne, ale według nich Haiyang ma dostarczyć do „Aldrina” na Fobosie połowę swego promieniotwórczego ładunku. Zgodzimy się wszyscy, że takie argumenty w rękach przeciwnika to śmiertelne zagrożenie dla każdej z ośmiu naszych kolonii. – Powiedział

wzrokiem po milczących, kamiennych twarzach. Każdy z nich udowodnił własnym cierpieniem oddanie marsjańskiej społeczności. Teraz, zaledwie trzy lata po zrzuceniu jarzma, gdy Ziemia upominała się o Marsa, ponownie stanęli w pierwszym szeregu.

- Sami wiecie jak jest we wszystkich koloniach. Pracujemy jak roboty, po szesnaście godzin na dobę. Niestety, nie wszystko możemy zrobić naraz i dotyczy to przede wszystkim produkcji uzbrojenia. Priorytetem było zabezpieczenie zespołu elektrowni Hybleus Fossae. Dlatego teraz posiadamy sześć wahadłowców, rakiet transportowych i nic, czym moglibyśmy w nich strzelić. Żaden środek transportu, jaki mamy do dyspozycji nie jest w stanie zmierzyć się z chińskim okrętem. – Na chwilę zaległa cisza, przerwana przez cichy dźwięk serwomotorów podniesionej ręki Jamesa.

- W takim razie, co się stanie z „Hydrą”? – Renflor miał na myśli wahadłowiec klasy Kirow wracający z pasa asteroid, odkupiony od rosyjskiej kolonii Gniew zlokalizowanej na Lucus Planum. Niósł w swym wnętrzu urobek czterech miesięcy ciężkiej pracy przy asteroidzie HD-2043, zbudowanej niemal wyłącznie z platynowców.

- Zostali ostrzeżeni – naczelny dowódca nielicznej armii Konfederacji uśmiechnął się lekko, starając się rozproszyć zaniepokojenie swego rozmówcy.

- Użyją metody bezpośredniego wlotu. To ich uchroni przed ostrzałem z „Aldrina” czy „Haiyang”. Wróćmy jednak do meritum sprawy. – Wyjaśnił Rupert, skinął na operatora siedzącego najbliżej i na ściennym ekranie pojawiła się mapa Marsa z zaznaczonymi na niebiesko koloniami Konfederacji.

- Najbardziej musimy się obawiać ataku na Olympic – operator posłusznie wyodrębnił obraz największej kolonii na Marsie i umieścił go z prawej strony głównej mapy. – Potem zespół elektrowni termojądrowych Hybleus Fossae, zespół obserwacyjny na Arsia Mons, Oudemanss, czyli wy i E-42. W przypadku tej ostatniej, nie muszę mówić, co się stanie, jeśli ich głowica zainicjuje eksplozję rafinerii deuteru. Po takiej operacji całe Ophir Chasma może stać się jednym, wielkim kraterem. Sztab generalny jest zgodny w tej ocenie, że ataki atomowe pójdą w tej kolejności. – Głównodowodzący westchnął głęboko i kontynuował.

- Oczywiście rzeczą jest, że trafienie każdej głowicy nie pozostawia najmniejszych szans na przeżycie naszym ludziom. Może w Olympic ktoś ocaleje, ale pozostali nie mają najmniejszych szans. – Wśród zebranych wszczął się ruch i zamieszanie. Spoglądali po sobie zaskoczeni pesymistyczną przemową, aż Rupert musiał uciszyć coraz głośniejszy szum rozmów.

- Panie i Panowie, spokojnie – wszystkie oczy zwróciły się na szefa sił zbrojnych, unoszącego otwarte dłonie, by tym gestem zdławić narastający hałas. Ogarnął wzrokiem salę.

- Proszę wszystkich poza zespołem szturmowym o opuszczenie sali – poprosił spokojnie Rupert, wciąż stojąc przed ekranami. Grupa przeredziła się. Max spojrzął na jednego z operatorów, którzy wciąż siedzieli przy swoich konsolach.

- Wszystkich – powiedział do niego z naciskiem a w głosie zabrzmiała stal. Dziesięć minut później stał sam naprzeciwko czterem śmiałków, wśród których dostrzegł cztery kobiety. Dopiero teraz odezwał się ze znacznie większą werwą w głosie, w którym pobrzmiwały nutki optymizmu.

- Nie przyszedłem wieszczyć apokalipsy, a przedstawić plan sztabu generalnego o kryptonimie „Thor”. On umożliwi nam uzyskanie na czasie. – Max Rupert odwrócił się przodem do ekranu i laserowym wskaźnikiem zaczął myszkować po ekranie, który przedstawiał teraz Marsa, Phobosa i przewidywaną orbitę chińskiego pojazdu.

- Naszym celem jest placówka Federacji Ameryki Północnej „Aldrin” na Fobosie. Zdobywając ją zyskujemy dostęp do baterii pocisków klasy kosmos-kosmos „Tapir” i dwóch dział magnetycznych. Zakładamy, że Chińczycy przed atakiem spróbują negocjacji. Prezydent Harry Loraine będzie grał w nich na zwłokę. My poczekamy grzecznie, aż znajdą się w zasięgu. – Ostatnie słowa wypowiedział ze zjadliwą ironią w głosie. Ekran zamigotał, ponownie wyświetlając chiński pojazd. Rupert odwrócił się i z pasją w głosie mówił.

- Mamy sposób, by przetrzymać dziesięć spośród was na Fobosie. Jak wiecie, załogę „Aldrina” stanowią wojskowi. Jej ostatnia zmiana nastąpiła pół roku temu i są tam wyłącznie Ziemianie. Żaden z nich nie posiada bioniki i w tym tkwi nasza przewaga. – Twarze zebranych ożywiły się.

- Osiemnaście osób obsługi plus trzy załogi z międzyplanetarnego statku „Discovery”. Posiadają wyłącznie broń krótką. Z oczywistych względów, większość z nich to operatorzy kosmicznej broni ciężkiej, astronomowie, obsługa siłowni atomowej i dwóch czy trzech oficerów... - wywód doradcy prezydenta został bezceremonialnie przerwany przez silny, męski głos

- ...jak zamierza nas pan tam dostarczyć? – Na dźwięk tego zapytania wszystkie głowy zwróciły się na Allana Gavoffa,

nonszalancko opartego o ścianę. Lekko kpiący ton potrafił każdego wyprowadzić z równowagi, ale postawny blondyn mało dbał o to. Jak mawiał, nie spotka go nic gorszego niż „plastikowe flaki”. Pogodzony z tym, że większość jego ciała miała metkę Medical Arts Corporation², dawał każdemu odczuć, że nie ma nic do stracenia. To, że Rupert był zaraz po prezydencie najważniejszą osobistością w Konfederacji nie miało dlań absolutnie znaczenia.

- ... nasz park maszynowy obejmuje tylko balony meteorologiczne, wentylatorowce³ i kilka transportowców balistycznych. – Dokończył Gavoff z ironicznym uśmiechem, niebaczny na piorunujące spojrzenie szefowej centrum, jakie posyłała mu z każdym słowem. Max Rupert niezrażony tonem głosu blondyna odrzekł spokojnie, ważąc każde słowo.

- Na orbitę polecicie bezzałogowym kontenerem transportowym. Udało nam się go pozyskać od Rosjan. Czekamy tylko na pierwszą wymianę sygnałów pomiędzy „Haiyang” i „Aldrinem”, aby je skopiować. Korzystając z tej korespondencji podejście do kolonii, udając transport z chińskiego okrętu. Kontener jest nieuzbrojony, więc jakakolwiek akcja przeciwnika spowoduje śmierć całego oddziału. I tu tkwi haczyk... - twarz Ruperta spoważniała. Przedstawił sprawę jasno i z biciem serca oczekiwał na decyzję zebranych. Gdy ktoś z otoczenia prezydenta miesiąc temu rzucił pomysł śmiałego rajdu, był pierwszym, który go wyśmiał. Później jednak, w miarę, jak kolejne opcje odpadały, samobójczy lot orbitalny stawał się jedyną alternatywą dla atomowej pożogi. Nikt jednak nie mógł nakazać takiej akcji, nawet żołnierzom – ochotnikom. Obserwował z kamienną miną rodzące się ciche rozmowy pomiędzy zebranymi. Część rozważała słowa dowódcy w milczeniu.

- Gdzie trzeba się podpisać? – Prychnął głośno Allan, starając się nadać swemu głosowi lekceważący ton. – Orbitalny lot pasażerski koszem na śmieci jest właśnie tym, o czym zawsze marzyłem. – Gdzieniegdzie pojawiły się aprobujące uśmiechy. Bezcelny Gavoff jak zwykle rozładował gęstniejącą atmosferę.

- Rozumiem, że zgłasza się pan na ochotnika, jako pierwszy?! – Zimno odezwał się Rupert, doskonale panując nad głosem. Za Allanem podążyli następni. Dowódca obserwował ich w milczeniu, choć serce rwało się, by przynajmniej zdawkowo podziękować im za poświęcenie. Owszem, zgłosili się do ciężkiej i niebezpiecznej służby. Przeszli wyczerpujące szkolenie, przygotowujące do walki chyba w każdych warunkach, które mogli napotkać na Marsie. Teraz zgłaszali się do misji będącej tak naprawdę hazardową zagrywką. A niemal połowa z nich zrobiła to natychmiast, bez zastanowienia. Dopiero po dłuższej chwili milczenia westchnął cicho i zaczął mówić. Powoli, spokojnie, bez entuzjazmu, ale i bez pesymizmu, opisując szczegóły konstrukcyjne kolonii na Fobosie.

- Nie będę ukrywał – przerwał na moment szczegółowy opis techniczny bazy FNA „Aldrin”. Czternaście par oczu wpatrywało się w niego na podobieństwo uczniów podstawówki, gdy nauczyciel prezentował pierwsze prawdziwe doświadczenie chemiczne.

- To podróż w jedną stronę. Kontener nie jest w stanie wylądować z powrotem na powierzchni Marsa, nie ma osłon ablacyjnych⁴ ani spadochronów. Komputer nawigacyjny jest w tej chwili specjalnie programowany, by móc naśladować ruch prawdziwych pojazdów tego typu. Jeśli zostaniecie wykryci, będziecie bez szans...

- Panie pułkowniku, teraz prosimy o optymistyczne wieści – Allan nie przestawał testować swojego denerwującego stylu bycia na naczelnym dowódcy. Ten spojrział spod oka i odpowiedział cedząc słowa, jakby tracił panowanie nad sobą.

- Pułkownik to czas przeszły. W tej chwili jestem osobą cywilną...

- Z rządu... - dopowiedział bezczelnie Gavoff a w jego oczach czały się ogniki ironii.

- Ech zamknij się już Allan – zirytował się James, słuchający dotąd w absolutnym milczeniu. Rozległ się szum serwomotorów, gdy sztuczną dłonią przeczesał swe krótko ścięte włosy.

- Rozumiem, że nie mamy wiele czasu? – Zapytany Rupert skinął w milczeniu głową, w zamyśleniu spoglądając na swego adwersarza. Trudno było wyczytać z jego twarzy, co myśli na temat NIRu – „najbardziej irytującego robota”, jak z przekąsem nazwali Allana najbliżsi współpracownicy.

- Ma pan całkowitą rację. Czas już dawno się skończył...

*

Kanciaste, betonowe ściany hangaru ciśnieniowego pokrywała cienka warstwa lodu. Mimo wysiłków potężnych dmuchaw, zamontowanych wzdłuż ogromnego pomieszczenia, panował tu przeraźliwy chłód. Słuchać było nieustanny trzask wysokonapięciowych spawarek, oświetlających niezmiernym światłem dwa pojazdy latające, których centralną część kadłuba wypełniały wielołopatowe śmigła, pozwalające swobodnie poruszać się w rzadkiej atmosferze Czerwonej Planety. Wsparte na wydawałoby się lekkim, zbyt filigranowym podwoziu, stały w prawym sektorze. Pośrodku stał standardowy ATV M-52⁵, przy

którym uwijało się ośmiu robotników. Każdy odziany był, prócz przepisowego stroju roboczego, w zdobyte własnym sumptem dodatkowe bluzy i czapki. Długi, kanciasty kształt automatycznego kontenera transportowego był modyfikowany w głębokiej tajemnicy niemal trzy miesiące. Zakrawało to na żart, zwłaszcza, że na Ziemi podobne konstrukcje schodziły z taśmy w ilości trzech sztuk dziennie. W wąskim otworze drzwiowym, wiodącym do wnętrza kolonii pojawiła się barczysta sylwetka Jamesa Renflova. Śmiało przekroczył próg i owiał go dojmujący chłód bijący z wnętrza ogromnego hangaru. Mimo tego, że mieszkał w Oudemans od dwóch lat, tu był po raz pierwszy. Ogarnął wzrokiem tytanowe wsporniki podtrzymujące łuk stropu, niknący w mroku. Gdzieś wyłaniały się z niego wydłużone sopte tworzące się z zamarzającej pary wodnej. Nic dziwnego, że panowała tu wiecznie ujemna temperatura. Przybysz mocniej się otulił bluzą mundurową i uśmiechnął się pod nosem, słysząc narzekania idącego za nim Allana.

- Ależ tu zimno, do diaska – autentycznie szczekał zębami. Rzeczywiście, dziś temperatura wynosiła osiemnaście stopni poniżej zera i nawet Gavoff to odczuwał. Stanęli obok siebie, obserwując w milczeniu wznoszącą się przed nimi, kwadratową rufę pojazdu. Pośrodku widniała dysza chemicznego silnika raketowego. W każdym z ściętych rogów rufy umieszczono proste silniki manewrowe. I to było wszystko. Żadnych iluminatorów, uchwyty czy krat wywietrzników. Ten prymitywizm nie napawał optymizmem i Allan jak zwykle postanowił to wyrazić na głos.

- Wiedziałem, że nasz szanowny Rupert nie mówi wszystkiego – nie dbał o to by mówić cicho, toteż donośny głos

blondyna niósł się daleko. – Kontener to chyba za mocne słowo. To naprawdę kubeł na śmieci...

Ni stąd, ni zowąd przed oboma mężczyznami pojawiła się niska, szczupła sylwetka w roboczym kombinezonie, opatulona dodatkowym szalem i czapką z wielkim pomponem. Spod zwałów tkaniny widoczny były tylko oczy i czarne brwi. Do uszu obu mężczyzn dobiegł stamtąd niezrozumiały bełkot.

- ...że co? – Gavoff obrócił się z uśmiechem do Jamesa i zachichotał – Nie dość, że kubeł na śmieci, to jeszcze załoga złożona z gnomów... - niska postać kilkoma niewprawnymi ruchami ściągnęła w dół szalik.

- Odszczekaj to – za plecami Allana rozbrzmiał gniewny, kobiecy głos. Zaskoczeni mężczyźni jak na komendę zwrócili się w stronę niewielkiej sylwetki. Jej śniada, owalna twarzyczka wykrzywiona była w grymasie wściekłości. James w myślach zauważył, że nieznajoma jest nawet w jego typie a złość dodaje dziewczynie urody. Nim jednak zdołał obmyślić zgrabny początek dyskusji, pyskówkę podtrzymał oczywiście Allan. On nigdy nie rezygnował z takich okazji.

- Gnomy, które potrafią mówić... - warknął złośliwie. Było ogólną tajemnicą, że ostatni wypadek pozbawił Gavoffa całej dolnej części ciała, przez co jego dawna kurtuazja wobec kobiet znikła bez śladu.

- Ty gnojku – w drobnej i słabej wydawałoby się dłoni kobiety pojawił się nagle długi, płaski klucz.

„Na oko numer dwieście” pomyślał James patrząc na narzędzie i z rozbawieniem na twarzy obserwował, jak Gavoff w ostatniej chwili unika ciosu szerszą częścią klucza, zadanego z dużą szybkością i wprawą.

- Wesołek co? – Na widok uśmiechu na ustach Renflova, agresja dziewczyny zwróciła się w jego stronę. Niczym szpadą, zadała cios kluczem i gdyby nie jego bioniczna ręka, z pewnością połamałaby mu kości. Pewny swej przewagi chciał chwycić ramię klucza, ale kobieta wykorzystując dźwignię, jaką utworzyła z klucza, wykręciła mu rękę do tyłu obracając całego Jamesa gwałtownym ruchem. Nim którykolwiek z nich zdołał zareagować, odskoczyła krok do tyłu.

- Pierwsza lekcja – zjadliwy głos dziewczyny kąsał ich męską dumę. – To nie kubeł na śmieci a pierwszy okręt marynarki kosmicznej Konfederacji „Modliszka”. I radzę nie podskakiwać jego dowódcy, czyli mnie. – Z ponurą satysfakcją spojrzała na Allana masującego sobie nadgarstek, o który zahaczył klucz. -

Gnomy zapewne macie w spodniach... - dopiero te słowa starły z jej oblicza złość. Zastąpił ją niewinny wyraz twarzy i James patrząc na tę zdumiewającą metamorfozę stwierdził, że jest wielu facetów, którzy mogą się na to nabrać.

- Kapitan Daphne Larousse. – Przedstawiła się po dłuższej chwili milczenia. Patrzyła na obu skruszonych mężczyzn z góry, co wyglądało dość komicznie, zwłaszcza, że miała zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu. – A wy to zapewne Renflov – wezwany skinął głową, a pani kapitan nie przerywając zwróciła duże, ciemne oczy na blondyna, który o dziwo, stracił rezon. – Gavoff?- Potwierdził potakująco zamykając oczy.

- Chłopcy – powiedziała z nagłym ciepłem w głosie – widocznie was nie uprzedzili. Nie bawimy się tu w wojsko. To jest prawdziwa armia... - gestem drobnej dłoni wskazała, aby szli za nią. Obaj grzecznie powędrowali w stronę kontenera. Dopiero z bliska mogli precyzyjnie określić wielkość pojazdu. Szli wzdłuż

gładkiej burty wznoszącej się na ponad trzy metry w górę. Minęli dwóch spawaczy, zaciekle walczących z szeroką szczeliną w poszyciu. James non stop zerkał na kształty pani kapitan, widoczne pomimo workowatego stroju.

- Co się tak gapisz – syknął Allan bacząc by nie usłyszała ich idąca przodem Larousse. – To zwykły tyłek. A ślepisz się na niego jak na diamenty.

- O nie – z namaszczeniem mruknął James nie odwracając wzroku od łagodnie kołyszących się bioder pani kapitan. – To prześliczna dupcia. Sma...ko..wi...ta – dopowiedział, akcentując każdą sylabę z osobna i zamilkł, bowiem stanęli na końcu piętnastometrowej konstrukcji, przy węźle cumowniczym. Niewielki, ciśnieniowy właz otaczało osiem ciśnieniowych muf, które w normalnych warunkach służyły do przetaczania dowolnego płynnego ładunku dostarczanego przez kontener. Te tutaj były jedynie wiarygodnie odwzorowaną dekoracją.

- No to hop do dziury – Larousse zachęciła obu zapraszającym gestem wskazując na drabinę przystawioną do węzła. – Z tym powinniście sobie poradzić... - James kilkoma chwytami zgrabnie wywindował się na górę. Allan stanął przy drabinie i spojrzął kosym okiem na panią kapitan.

- Ja już nie potrzebuję skakać do dziury! – Mruknął ponuro i z szumem serwomotorów pognął w górę, by nie otrzymać zasłużonego kopniaka w tylną część ciała. Jako ostatnia, do wjazdu wsunęła się dziewczyna, nienaturalnie szybko przemierzając te trzy metry do góry, niczym kocica. Stała zaraz w wąskim tunelu, uderzywszy w szerokie plecy Jamesa.

- Przepiękne widoki, wiem to, ale jazda do środka – pchnęła Renflova, który z wyraźnym oporem wsunął się do wąskiej,

klaustrofobicznej kieszki w kolorze wypolerowanego aluminium. Zdumieni mężczyźni usiedli z trudem pośrodku niewielkiego pomieszczenia. Spojrzeli na siebie a potem, jak na komendę, na Larousse.

- Czy chcesz powiedzieć, że mamy podróżować w tej... - Allan przez chwilę szukał w myślach mniej obraźliwych stwierdzeń, co przychodziło mu z ogromnym trudem, bo od dawna się nie hamował.

- Rurze? – James słysząc to wyszczerzył zęby w uśmiechu i dodał od siebie.

- Mnie to przypomina silos na zboże... - widząc kątem oka ruch ręki pani kapitan, dodał szybko – w miniaturze, rzecz jasna.

- Ech chłopcy – westchnęła Larousse, zwinnie prześlizgując się pomiędzy oboma mężczyznami. Jednym ruchem wsunęła się do zwężającego się kanału wiodącego dalej w głąb pojazdu. Renflov wrzucił ramionami i podążył za nią. Pozostały w niewielkim pomieszczeniu blondyn westchnął z rozpaczą i wcisnął się z wysiłkiem w wąski otwór przejścia. Dopiero po kilkunastu ciężkich sekundach przedostał się do obszerniejszej, głównej komory. Jego oczom ukazało się pomieszczenie w formie cylindra. Do jego boków przymocowano kilkanaście aluminiowych, perforowanych, dwumetrowych szaf, wypełnionych sprzętem. Gavoff z westchnieniem ulgi zsunął się po pochyłości ściany. Żaden z obecnych w czterometrowej długości cylindrze członków załogi nie zaszczycił nowo przybyłych spojrzeniem. Dwóch niskich, przysadzistych mężczyzn i wysoka, chuda jak szkielet kobieta uwijali się w pocie czoła, umieszczając trzy opancerzone skafandry ciśnieniowe na specjalnych uchwytach.

- Za szeroko to tu nie jest – mruknął blondyn stając niepewnie na nogach, w nienaturalny sposób wykrzywając stopy, by utrzymać się na łuku podłogi. Komputer zawiadujący motoryką Gavoffa przez sekundę analizował kształt podłogi i natychmiast dostosował działanie serwowatorów do nowego otoczenia.

- Nie będziemy tu mieszkać latami – rzuciła przez ramię pani kapitan i dodała stanowczym tonem – Nie przyszłście tu zwiedzać panowie! Do roboty! – Przez następne szesnaście godzin zarówno James jak i Allan przeszli nie mniejszą szkołę życia niż podczas wyczerpującego szkolenia w niewielkich koloniach zbudowanych wzdłuż Valles Marineris. Nawet pozostała trójka członków załogi, Susana, Leon i Heller przyzwyczajona do tego typu pracy, umęczyła się porządnie, ale ich solidarny, ofiarny wysiłek opłacił się sownicie. Gdy nad marsjański płaskowyż Sinai Planum wzniosła się niewielka tarcza słoneczna, byli gotowi do tankowania kontenera. Godzinę później „Haiyang”, pierwszy w historii badań kosmosu niszczyciel Chińskiej Marynarki Ludowej wszedł na orbitę Marsa...

Zapraszam do pełnej wersji tekstu :)

SPIS TREŚCI

PROLOG.....	4
ODPOWIEDŹ ZIEMI.....	20
LOT.....	32
BATTLESTATION „ALDRIN”.....	44
„HAIYANG”.....	65
EPILOG.....	78

Zapraszam gorąco na stronę www gdzie dostępne są dodatkowe materiały oraz informacje o najnowszych pozycjach wydawniczych.

Tomasz Biedrzycki

¹ CMC – Confederation of Martian Colonies

² MAC – Medical Arts Corporation – korporacja, której początki sięgają 2015 roku, wyspecjalizowana w dostarczaniu na rynek nowoczesnych protez bionicznych.

³ Wentylatorowiec – maszyna napędzana za pomocą śmigieł w osłonach - wentylatorach

⁴ Osłony ablacyjne – osłony wykonane najczęściej z ceramicznych materiałów zabezpieczające pojazdy kosmiczne przed wysoką temperaturą podczas wejścia w atmosferę.

⁵ ATV M 52 – Automated Transport Vehicle Mk 52, automatyczny pojazd transportowy używany przez armię Federacji Ameryki Północnej od 2053 roku.